№ 22.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 3. Czerwca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na rok talarów 8, na pół roku talarów 4, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Ustęp z czasów Napoleona.

»Czytałeś w Przeglądach artykuł o Krettlym?« — »Nieczytałem. I cóż to za figura ten pan Krettly? czy może znowu wynalazca jakiego krettlotypu?« — »Nie, bracie, nic on niewynalazł, nic niezbudował. Od dziewięciu lat małą jest figurą w orkiestrze teatru de Gaieté. Dziś tam nic osobliwszego niewystawiają; ale mniejsza o to: pójdźmy go zobaczyć. Gdy poznasz człowieka z fiziognomii, interesowniejszém znajdziesz, co o nim pisma czasowe głoszą.« — »Ale cóż przecie? Niemam ochoty pójść oglądać grajka orkiestrowego.« — »Dość ci na tém, że to człowiek, którym czasopisarze potrafili zainteresować publiczność paryzką.« — Dałem się namówić, poszliśmy na boulevard du temple. Już się była sztuka zaczęła. Alić nie na scenę, tylko na orkiestrę zwróconą była cała moja uwaga. Szukałem tam twarzy, coby mi coś nadzwyczajnego zapowiadała. Same zwyczajne francuzkie fiziognomie, najwięcéj młodych jeszcze ludzi. »Nieodgaduję nikogo« szepnąłem towarzyszowi. W tém i kurtyna zapadła, ruszyła się z miejsc swych orkiestra. Mój towarzysz skłonił się, i pomiędzy pulpitami przedziera się ku nam jakieś małe zgarbione człecze, siwiuteńki jak gołąbek. »Jak się masz panie kapitanie Krettly? Oto przedstawiam ci mojego przyjaciela, który niedawno z Polski tu przybył.« — Podał mi starzec dłoń wyschłą żylastą; ale w ściśnieniu silném poznałeś dziarskość, w połysku oka prawdziwy, nieobłudny wyraz serdeczności. Prawda, że uderzające były rysy tego wojaka, któregom przypartego w zakątku niebył dostrzegł. Oko żywe niezwykłym na ten wiek łyszczało ogniem, nos orli w zaostrzonych rysach, czoło wysokie, twarz i czaszka wydatnemi bliznami oznaczone. Rzadka żywość w tak drobném ciele, w ruchach, w polocie ócz, w mowie. Cała przeszłość znać w jasnych kolorach stała mu na pamięci. Pytając się o kraj nasz rodzinny, opowiadał, jak w roku 1807. po bitwie pod Iławą, wśród ciężkiéj zimy, przebiegł lotem ptaka kawał Polski od Landsberga do Ostrołęki, niosąc rozkazy cesarza do marszałka Lannes. Była to, rzecze, ciężka przeprawa. Z ośmiu adjutantów, których tam Napoleon był wysłał, niewrócił żaden, bo komunikacyą liczne hufce kozaków przecinały. Los mi sprzyjał, nienatrafiłem na nich dopiero za Pułtuskiem, w lasach wiodących do Ostrołęki. Zwróciłem w bok i szczęśliwie dojechałem swoich. Najwyższa tego była potrzeba; marszałek Lannes był ciężko ranny. Savary korpusem dowodził, i od kilku już tygodni był bez wiadomości od głównéj armii. Cesarz wyprawiając mnie, sam ostrzegał: »Drogę masz przed sobą trudną i niebezpieczną; ale ruszaj, trzeba mi koniecznie odpowiedzi. Tylko śmiało i z przytomnością, a ręczę ci, że wrócisz.« Ja wierzyłem w słowa cesarza, jak w wyrocznią, i byłbym w piekło poszedł. Jenerał Savary wysyłał ze mną swoich także adjutantów. Ja z depeszą w ręku, wszystkich wyprzedziłem, kilka koni padło podemną. Na słowa: »baczność! miejsca dla depeszy cesarskich!« rozstępowały się kolumny rozległego obozu. Na równinach Eylau dotarłem do cesarza, otoczonego licznym sztabem. »Co to za człowiek?« zapytał. Niepoznał mnie. Bo też niebyłem do poznania: podobniejszy do rozbójnika, niżeli do żołnierza. Koń bez siodła, ja

sam przepasany chustkami, po za którémi sterczały pistolety, na tył zarzucony karabinek; włos koński od kaszkieta rozstrzępiony ociemniał mi twarz zarosłą brodą, okrzepłą szronem i lodem. Nazwałem się i podałem pismo. Porywczo za nie pochwycił cesarz, oko jego latało po niém jak błyskawica, czoło nasępione rozjaśniało się.. Odetchnął, jakby po minioném wielkiém nieszczęściu, i rzekł: »w sam czas. — Panowie, proszę na ustęp!« Zostałem z nim sam na sam, i musiałem mu opowiedzieć wszystko, com widział i słyszał. Niezatailem scen okropnych, na które się patrzyłem. Żołnierze nasi znać ranni podobijani, leżeli niepogrzebani odarci po drogach. W jedném miasteczku cały nasz lazaret był wymordowany i ciała ich wyrzucone na śniegi. Cesarz, wysłuchawszy mnie, położył mi palec na usta »abyś o tém, rzekł, nikomu niepowiadał. Zakazuję ci surowo.« Chwycił mnie potém za wąs lodem oszroniały, i dodał: »Wracaj do szwadronu, kontent jestem z ciebie.« O sto kroków może napotykam marszałków Berthier i Bessières, prowadzących się pod rękę. Bessières zoczywszy mnie, puszcza księcia, i zwracając się ku mnie: »Cóżeś przywiózł nowego?« zapytał. »Mości marszałku, odpowiedziałem, codopiero cesarz mi zaszył usta.« Rozśmiali się, a Berthier widząc, że niemam konia, kazał mi jednego ze swoich przyprowadzić, i obdarzył parą pistoletów. »Miéj je w dowód szacunku mego dla ciebie, rzecze, wiem, że ich dobrze potrafisz użyć.« — Właśnie chciał starzec opowiadać, jak się tém samemu księciu przysłużył tego jeszcze dnia (8. Lutego) pod Eylau, kiedy paradyż i parter napróżno świszcząc, krzycząc i hałasując na zachętę do grania, sypnął na orkiestrę gradem kasztanów, orzechów, jabłek, i innych pocisków kieszonkowych. Biedny Krettly, który z pod Eylau nieuciekał, czmychnął od nas na swoje miejsce, zapiął surdut, jakby ze wstydu kryjąc czerwoną u dziurki wstążeczkę, siadł, wziął skrzypce i smyczek, zgarbił się i na stuknięcie dyrektora zagrał w takt całéj orkiestry. Jakaż to zmiana losu, pomyślałem sobie. Ten człowiek szablą zarobił sobie na sławę, dziś na starość skrzypkami zarabia sobie na chleb. Ówczas szedł na głos wielkiego męża, w pobliżu którego wszystko w olbrzymią postać rosło, dziś słucha smyczka, i zmalał śród małych. Owe czasy chwały były to czasy wielkości; bo też Napoleon był największym poetą, bitwy były jego rymy, a czyny wojenne poezyą, którą zachwycał świat cały. Dziś proza tylko, i nic jak proza.

Wróciwszy do siebie, nie wprzody udałem się na spoczynek, dopóki nieprzeczytałem artykułu o Krettlym. Prawda, że rzadki człowiek; jeden z tych, co uświetnił epokę Napoleona, tylko że sam niebył uświetniony. Kiedy inni sięgnęli po diademy książęce, a nawet po korony, po tytuły i dotacye, on otrzymawszy krzyż legii honorowéj, nieżądał więcéj od ojczyzny. Ale i on należał do liczby najwaleczniejszych z pomiędzy walecznych, i on lejąc krew w kilkudziesiąt bitwach, od bitwy pod piramidami począwszy, zdumiewał męstwem i odwagą. Lecz nieuprzedzajmy czytelnika. Oto w treści historya życia jego:

Ojciec był muzykiem w kapeli gwardyi szwajcarskiéj za Ludwika XVI. Syn, mając lat 13, wszedł w służbę wojskową jako fajfer. Pierwszy raz był w bitwie pod Jemappes. Dumourier kazał pułkowi 104mu zdobyć lasek, zajęty przez piechotę węgierską i broniony mocną bateryą. Pułkownik prowadzi batalion do szturmu. Rzuca się naprzód w szeregi nieprzyjacielskie. Obskoczony »Bracia! woła, niedajcie mi tu umierać; hańba wam, gdyby nieprzyjaciele rzeczypospolitéj posiedli ciało moje!« Krettly posłyszał to wołanie, wpadł w tłum wojowników, rozbił ich, i pułkownika uniósł między swoich. Pod własną przynajmniéj skonał chorągwią. — Roku VI. rz. p. (1797.) wszedł jako trębacz do pułku gidów naczelnego jenerała, który natenczas wojował we Włoszech. Dowodził gidami Bessières, i przez osobiste upodobanie starał się o najlepszą pułkową kapelę. Bonaparte, świadom, jakiego jest wpływu muzyka na umysł i odwagę żołnierza, popierał ją także. W wyprawie do Egiptu, pułk gidów wsiadł z Tulonu na okręt admiralski, i codzień na pokładzie pod okiem naczelnego jenerała i dzielnego młodego sztabu, odgrywała muzyka symfonie i koncerta. Wśród takiéj to okoliczności Krettly zwrócił na się po raz pierwszy uwagę Bonapartego. Koledzy bowiem dla wesołego i figlarnego humoru, a małéj figury, nazwali go krępakiem (bamboche), i tém nazwiskiem Napoleon go późniéj zawsze tytułował.

Po spaleniu floty przez Anglików, Bonaparte chciał zwiedzić międzymorze Suez, co łączy Afrykę z Azyą, zbadać ślady starożytnego kanału, który Nil łączył z odnogą arabską, i przebyć morze czerwone. Po uspokojeniu buntu w Kairze, w miesiącu Grudniu udał się w towarzystwie kilku uczonych i oficerów sztabu na oną wyprawę. Towarzyszyła im kompania gidów, na jéj czele trębacz Krettly. Jenerał naczelny jechał powozem z panami Bourrienne, Monge i Berthollet; inni jechali konno. Dnia pierwszego wśród pustyni był upał nieznośny. Wieczorem przeraźliwe przejmowało zimno. Wielu się

rozchorowało, i niejeden trącając o liczne kości ludzkie, co się po tych piaskach bieliły, pomyślał, że i jego taki koniec spotkać może.

Niebyło wcale drzewa. Bonaparte kazał naznosić suchych kości i zatlić na ogień. Monge sam na taki użytek musiał przeznaczyć kilka czaszek rzadkiego kształtu, ze zbioru swego, któremi zapchał powózkę Napoleona. Ale biwak taki na nic się nieprzydał. Niemożna było wytrzymać przed smrodem. Niebyło wody, aby zalać ogień. Musiał się więc cały obóz przenieść opodal na nocleg.

We dwa dni potém Napoleon i cała jego świta, zwiedzając fontanny Mojżesza, przeszła morze czerwone suchą nogą, jak niegdyś Izraelici. Noc była późna, zanim się dostali do drugiego brzegu, i morze zaczęło już przybierać. Ciemność gruba przeszkadzała w pochodzie; zmylono kierunek. Tymczasem woda podnosiła się coraz wyżéj, i już była koniom pod piersi. Gidowie zaczęli się mieszać. Krettly pływał jak ryba; puścił więc konia i wpław chciał dostać się do brzegu: to piersią rozpiera fale, to na grzbiecie dla odpoczynku po nich się unosi. Naraz spostrzega, że ktoś tuż przy nim mocuje się z bałwanami, i już już mu siły ustają. Silną dłonią go chwyta i szczęśliwie z nim dobija do skalistego wybrzeża. Byłto Cafarelli, jenerał inżynieryi; nieborak o jednéj drewnianéj nodze niemógł podołać falom morskim, i bez pomocy owego junaka pewnoby był utonął. — Napoleon, wybrnąwszy z niebezpieczeństwa, rzekł do swoich: »Prawieby mi było tak poszło, jak Faraonowi. Mieliby byli w Europie o czém gadać. Takie zdarzenie drugi raz nie wraca.«

Napoleon wrócił do Kairu, ale aby się naocznie przekonał, czyliby niemożna połączyć morza śródziemnego z morzem czerwoném, wyjechał konno do Suez, w towarzystwie tylko małego oddziału gidów, między którymi był także Krettly. Bonaparte miał dzielnego araba pod sobą, prędkonogi prawie porówno z wiatrem gonił. Puścił mu cugle i het za sobą zostawił gidów. Dwaj tylko zdążali za nim: byłto brygadyer Henri i Krettly. Już byli mil kilka ubiegli, kiedy Napoleon zwolnił biegu koniowi, po raz pierwszy pojrzał po za siebie, i rozśmiał się, że z całéj świty dwóch tylko i to w znacznych odstępach za sobą widzi. Pędził atoli wciąż po nad wybrzeżem, aż całego nieobejrzał. Słońce się już chyliło ku zachodowi — upał był nadzwyczajny. Wśród piasków nieprzejrzanéj przestrzeni stały dwa drzewa palmowe, tworząc jakby baldachin ocieniający. Tu zsiadł z konia, i rozciągnął na ziemi znużone członki. Opodal rozłożył się Krettly. »Krępaku, rzecze doń Bonaparte — jeść mi się chcę.« — »Nic naturalniejszego, mój jenerale, odrzekł Krettly; tylko na nieszczęście w tym kraju szarańczy niestawia ją restauracyi, a chociaż na tym upale wołuby można upiec na rożnie, to przecież pieczone gołąbki niespadają same do gąbki; a coś nam i manna nawet niespada, jak Izraelitom.«

Bonaparte rozśmiał się: »żart nie w dobie« rzecze. — »Jeżelić jenerał niebędzie bardzo wybierny, toby mu można zaradzić. Henri! wstań, zastaw do stołu, jenerał na ten raz obejdzie się bez obrusa. Ja tymczasem rozdzielę pieczeń i zaprawię sałatę.« Jakoż wydobył z woreczka płóciennego, zasznurowanego, łopatkę oślą odgotowaną, pałaszem rozrąbał na dwie części, i z wszelką gracyą ofiarował Napoleonowi. »Co sobie jenerał życzy? od żeberka, czy od uda?« Jenerał uśmiał się, ale tęgo w oślinę zacinał. — »Żarłoku, to ty jesz mięso bez chleba?« — »Jest i chleb jenerale« i dobył z worka kilka sucharków arabskich.

»Najadłem się, rzecze Bonaparte po chwili, ale za to pić mi się chce po djablemu. Niemasz tam co krępaku?« — »Jest, ale może nie tak smaczne, jak Chambertin, niema też lodów na podoręczu, aby napój schłodniał«; podał potém jenerałowi pęcherz napełniony do połowy wodą ciepłą. Bonaparte przychylił usta, ale zaledwie spróbował tego napoju, otrząsł się i oddał. — »No, to to moje będzie lepsze, rzekł Krettly wyciągając niewielką flaszeczkę, ale to miało być na wety. Bo to tutejsze delicye, likier z miodu, daktyli i cebuli.« — »Dawaj!« rzecze Napoleon. Napiwszy się tego koniaku arabskiego, siadł na koń. Henremu kazał boczyć od morza, czyby gdzie reszty gidów niespotkał. Krettly zaś jechał obok Napoleona. Już się było dobrze zmierzchło. — »Jakie szczęście, rzecze Krettly, że ja i Henry tak rączych dosiedliśmy biegunów! Inaczéj w téj puszczy bez końca byłbyś teraz jenerale sam jeden.«

»Bonaparte nigdy niejest sam jeden, nawet na puszczy nie!« A w głosie, którym te słowa wymówił, poznać można było wyższe jakieś natchnienie. Wódz w milczeniu pojeżdżał naprzód. W parę godzin znalazła się reszta gidów, i weselsza rozpoczęła się pogadanka.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

UL, dziennik paryzki.

W liczbie dzienników edukacyjnych, wychodzących w Paryżu, żaden, mojém zdaniem, tak nieod-

powiada celowi swojemu, i niezasługuje na większą wziętość i naśladowanie, jak Ul (la Ruche), który już od dwóch lat trwa.

Naprzód, wydają go i pracują nad nim same: Ludwika Belloc i Adelaida Montgolfier, których imie powiedzieć jest jedno, co pochwalić dzieło. Zasługują one obie na najwyższy szacunek i zaufanie; nie dla tego tylko, że należą do najcelniejszych autorek dzisiejszych, że już od lat piętnastu zajęte są pisaniem moralnych książek dla dzieci, ale dla tego jeszcze, iż są żywym wzorem cnót, jakie zalecają; i że ich niezwyczajne a może jedyne położenie, stawia je w możności wykonania podobnéj edukacyjnéj pracy, lepiéj od kogokolwiek bądź, choćby nawet był zdatniejszym od nich — o co trudno.

Znam obie te panie z bliska i prawdziwie się tém chlubię. — W ogólności nieszukam związków z sławnemi Francuzkami; jednegom kroku niezrobiła, żeby się poznać z panią Jerzym Sand, alem chwyciła z ochotą sposobność poznania się z paniami Belloc i Montgolfier. Ja w mojéj prostocie, w autorach, a zwłaszcza w autorkach, nad gieniusz, moralność i użyteczność cenię; kobiety, która wyjdzie ze swego zakresu i zacisza na to, żeby złe szerzyć, choćby też z zadziwiającym talentem, mogę być ciekawą jako dziwotwora, ale wcalem nierada poznać się z nią. Widziałam tedy raz panią Jerzego Sand, i dosyć mi na tém; u Ludwiki Belloc i Adelaidy Montgolfier bywam z upodobaniem, i zapewne tyle korzystam z przestawania z niemi, ile z czytania ich prac. — Wystawiają one dwa obrazy kobiece, zupełnie odmienne, a przecież równo uczące i szanowne:

L u d w i k a B e l l o c, wysoka, kształtna, dorodna co się zowie piękna, żona, matka i gospodyni, służyć może jako wzór do naśladowania kobietom, co idą koleją zwykłego i głównego przeznaczenia płci swojéj. Ani jéj piękność, ani wyższe światło, ani kilku języków umiejętność, ani całe autorstwo i sława, a to wśród Paryża, nieprzeszkadzały jéj nigdy i nieprzeszkadzają teraz, kochać i uszczęśliwiać męża, opiekować się jego dziećmi z pierwszej żony, wychowywać własne, rządzić domem i przyjmować gości. Tak nawet pełni dokładnie i mile te wszystkie powinności, iż zgadnąćby trudno, że zdrowia prawie wcale niema, a majątku bardzo niewiele.

A d e l a i d a M o n t g o l f i e r, nieurodziwa, niezamężna, uczyć może a razem pocieszać, mniejszą wprawdzie, ale także niemniéj szacowną część kobiet, którym brak wdzięków, mȧjątku, lub inne jakie okoliczności niedozwoliły wejść w poczet żon i matek, i które cierpią może jeszcze nietyle na jakieś mniemane często upokorzenie, jak na niedostatek powinności, na niemożność okazania cnót i przymiotów, jakie czują w sobie. — Panna Montgolfier, córka sławnego wynalazcy balonów, który niezostawił jéj żadnego majątku, osoba wielkich umysłowych zdolności i nadzwyczajnéj mocy czucia, obrała sobie użyteczne autorstwo za sposób do życia i zatrudnienie, cnotliwą przyjaźń za żywioł serca; oddała się zupełnie téj pracy i temu uczuciu, i dni jéj umiliły się i napełniły. Mówiła mi to raz sama: »Nie»chciałabym się mieniać z nikim na świecie, nawet »z nią — dodawała wskazując na siedzącą opodal »panią Belloc — bo wtedy niemogłabym tak jéj ko»chać, tak jéj się poświęcać, jak teraz.« A kiedy to mówiła, takie żywe i lube czucie malowało się na jéj bladéj twarzy i w małych czarnych oczach, że mi się piękną zdawała. — W rzeczy saméj, niewiem, czyby na ziemi całéj znaleźć można przyjaźń doskonalszą nad tę, co te dwie kobiety wiąże. Gdyby w czasach dawnych żyły, powiedzianoby bez wątpienia, że jeden duch te dwa ciała ożywia; tyle jest między niemi harmonii, takie spojenie, taka jedność, lubo charakterami bardzo się różnią, jak to zwykle bywa między dobranymi przyjaciołmi. Panna Montgolfier żywsza, weselsza, dowcipniejsza, więcéj wybujałéj imaginacyi, jest przecież zupełnie d r u g i m j a poważnéj, łagodnéj, rostropnéj pani Belloc; ją dzieci zowią drugą matką (maman Adélaide), służący, goście, drugą panią domu, a nad licznemi pismami spólnie pracują. Często się zdarzy, że jedna z nich dopełni sama jakiego dzieła, ale nieraz, co jedna zacznie, to druga skończy; a prawie nigdy niewiedzą, od któréj z nich pierwszy pomysł jakiéj pracy wyszedł. Ta jedność ich myśli, a przeto dwoistość środków do ich wydania, sprawia, że więcéj rzeczy we dwie dokonać zdołają, niż może kilka innych osób, z którychby każda swoim dworem pracowała; a wracając się do ich dziennika, przekonana jestem, iż one tylko pojąć go mogły i prowadzić tak doskonale są zdolne.

Dziennik ten, przeznaczony panienkom od lat siedmiu do dwudziestu, wychodzi co miesiąc, w poszytach dwu-arkuszowych, nabitym drukiem we dwie kolumny ze ślicznemi litografiami, za 10 franków na rok. Zawiera powieści zajmujące, biografie, anekdoty, poezye, tłumaczenia, recenzye dzieł, piosnki i t. p. Ale to wszystko lubo wyborne, niestanowi przecież głównéj, i temu pismu tylko właściwéj zalety. Jest nią k u r s ć w i c z e ń (Cours d'études), podzielony w pierwszym roku na trzy oddziały, w drugim na dwa, i udzielany w rzadki sposób, bo praktykę łączy z teoryą. — W każdym poszycie rzu-

cone są kwestye zdolne do rozwijania uwagi, do kształcenia rozsądku, oświecania rozumu młodych panienek, do uczenia je cnót ich wieku i powinności kobiety; a to wszystko w duchu najczystszéj moralności i wiary. Wdzięk, rozmaitość, trafność tych kwestyi, wykład ich głęboki i jasny razem, ma coś prawdziwie zachwycającego.

Raz, jest zapytanie: Jak przyszłaś do pierwszéj wyraźniejszéj myśli o Bogu? albo: Jaki wypadek z dzieciństwa twojego utkwił ci najwięcéj w pamięci? a pierwsze zapytanie przeprowadzone jest prześliczną rozmową matki z dziecięciem; drugie jak najmilszym ustępem z wieku dziecinnego jednéj z autorek. — Innym razem są to zadania z grammatyki, z arytmetyki, z historyi, z fizyki, z historyi naturalnéj, z jeografii, ze sztuk pięknych, do których powód daje: jakie nowe dzieło, jaka dowcipna anekdota lub biografia, jakie zjawisko niebieskie lub zdarzenie potoczne, podróż, wystawy i t. p. — Innym razem jeszcze są kwestye zgodne z przeznaczeniem kobiety, jako to:

Jakibyś ułożyła plan edukacyi dla małéj siostry, gdybyś ją miała i gdyby ci powierzoną była?

Jak w twoim wieku i stanie użyteczną być można dzieciom ubogich?

Urządź gospodarstwo skromne a uczciwe, familii z pięciu osób złożonéj, i wyrachuj, wiele wydawaćbyś musiała w miejscu, gdzie mieszkasz?

Jakie znasz rośliny użyteczne?

Udziel opisu robotki ręcznéj, tak wyraźnego, żeby nieumiejętna wykonać go potrafiła?

Daj nam przepis potrawy smacznéj itp.

Nareszcie w liczbie tych pytań i zadań rozmaitych znaleźć można i powieść zaczętą, któréj ciąg dalszy i rozwiązanie dorobić trzeba. —

Ale niekończy się zasługa i praca autorek na rzucaniu i wykładaniu kwestyi; każda panienka, któréj rodzice czy opiekunowie prenumerują na Ul, jest jego pszczółką, jego spólrobotnicą, i ma prawo przysłać swoję odpowiedź, byle przed piętnastym każdego miesiąca, z wymienieniem nazwiska i imienia własnego lub przybranego, wieku, i miejsca pobytu swego. Panie Belloc i Montgolfier z największą sumiennością czytają, porównywają, sądzą każdą robotę; a w przeglądzie (Revue des compositions) umieszczonym w następującym poszycie wspominają o każdéj odznaczającéj się, chwalą, ganią, prostują, zachęcają pszczółki swoje, przywięzując się więcéj jeszcze do ducha pism, niźli do litery, wypisują najlepszą robotę, przyznając jéj premium ogłoszone wraz z zadaniem, a składające się zwykle z dobréj książki, pięknego rysunku, nót, kart jeograficznych i t. p.

Ten nowy krój dziennika, ta macierzyńska dwóch uczonych i cnotliwych autorek praca, nader zbawienne przynosi skutki. Słyszałam to od matek i mistrzyń; te wszystkie panienki, które sumiennie zadań Ulu dopełniają, niezmierne postępy czynią we wszystkiém, i są umiejętniejsze, lepsze, szczęśliwsze od innych. Wszystko koło nich nabywa nowego wdzięku; uczą się pisać, pisać z głowy, co więcéj uczą się myśleć, uważać, poznawać siebie; a prócz tych wszystkich korzyści zachodzi między niemi wszystkiemi węzeł godziwéj, skromnéj emulacyi, i węzeł braterstwa, który zapewne niejednéj z nich w dalszém życiu słodycze przyjaźni gotuje, jeśli nie równéj, to przynajmniéj podobnéj do téj, która to pismo w części natchnęła i utrzymuje.

Czy uwierzy mi kto? Ów dziennik taki cnotliwy, taki sumienny, taki użyteczny, w owym Paryżu, gdzie złe a czasem i liche dzieło fortunę autora robi, niema pokupu, i więcéj już jest znany i ceniony na prowincyi, niżeli w stolicy. Rzetelny i czysty — jeszcze bowiem w dwóch latach swojego bytu żadnéj szarlataneryi się niedopuścił, i o miłości niewspomniał — niepodoba się Paryżankom, które od kolebki oddane próżności, zajęte gotowalnią i kochankami, już lalki swoje wydają za mąż. — Zdaje mi się, że u nas dziennik ten by się podobał; a kiedy już koniecznie dzieci nasze mają umieć po francuzku, radabym, żeby on przed innemi paryzkiemi miał wziętość.

Ale czego sobie więcéj jeszcze nierównie życzę, to tego: żeby kilka osób sumiennych i światłych, dobrze znających język polski, zebrało się w maleńkie grono, i żeby na ten sposób, ulepszonym może jeszcze kształtem — bo zastósowanym do potrzeb naszych — ogłaszały w jakim dzienniku krajowym comiesięcznym zadania dla młodzieży płci żeńskiéj; żeby przyjmowały i sądziły odpowiedzi panienek, ogłaszały najlepszą, i premium w książkach polskich dawały. — To byłaby szkoła ojczystego języka dla kobiet, trybunał światłéj a tajnéj krytyki, jakich konieczna jest potrzeba. — Bo ile ja przynajmniéj z daleka miarkować mogę, budzi się w młodych Polkach chęć pisania po polsku; jest zapewne w wielu z nich zdatność, ale niemają właściwego pola do probowania, do kształcenia, do ocenienia sił własnych. Naprzód, prawie wszystkie tłumaczą albo wiersze robią, co jest rzeczą zgubną dla poczynających pisać; powtóre, niejedna z nich

mało znając języka, nieumiejąc jeszcze myśleć, już pisze, a nie umiejąc pisać — drukuje. Jéj praca ogłoszona nie znajduje tego sukcessu jaki miała w domu, i odstręcza jéj od dalszych zabiegów; albo też co gorzéj jeszcze, chwalona nad zasługi przez kilka pochlebców, wbija ją w zarozumienie i zniewala do pisania daléj. — Jakimżeby więc dobrodziejstwem stać się mógł kurs nauki myślenia i pisania udzielany w sposób jakiego przykład dziennik la Ruche podaje. Młode Polki z różnych okolic przybrawszy imie i nazwisko dowolnie obrane, nadsyłałyby śmiało roboty swoje, pomyślane jakby umiały najlepiéj i już oryginalnie napisane. Bez narzekania ani miłości własnéj ani skromności, dowiedziałyby się na drugi miesiąc niemiléj lub miléj prawdy, ale zawsze prawdy, króra takim jest skarbem dla piszących, zwłaszcza dla tych co poczynają. Odkryłby się pewno nie jeden prawdziwy a nie mały talent; umilkłby a co lepsza poprawiłby się nadęty i wmówiony.

K. z T. H.

O człowieku pod względem fiziologicznym.

Kiedy zdziwionėm okiem pojrzymy po cudach świata, kiedy myślą przebieżem niebo zasiane tysącami gwiazd, a ziemię tysiącami stworzeń, czujemy w piersi naszéj najczulszą wdzięczność naprzeciw stwórcy, iż człowieka natchnął duchem swoim nieśmiertelnym, duchem bożym, który się w samowiedzy pojawia. Żadne stworzenie okrom człowieka, niejest w stanie ani siebie, ani co go otacza pojąć, i ta właśnie cecha odróżnia człowieka od innych zwierząt, które popędem wewnętrznym miotane, opuszczają to życie na ziemi, nie pozostawiając po sobie żadnéj innéj pamięci, jak tylko że zaspokojały zwierzęce potrzeby.

Człowiek jedynie stanął na czele stworzenia za pomocą bożego ducha, który w nim przemieszkuje. Uważając go ze strony życia fizycznego możnaby sądzić, iż przyrodzenie nawet go zaniedbało. Żaden zwierz nieprzychodzi na świat tak jak człowiek, słaby, opuszczony i nagi. Słabe nowonarodzone dziecie niewytrzymałoby wpływu ostrego powietrza, zginęłoby, gdyby najczulsza miłość i przywiązanie współbliźnych nie zaspokoiło jego tysiącznych potrzeb, których zwierze niezna. Wieleż to jednak nie umiera dzieci w pierwszych chwilach swojego życia, mimo najtroskliwszych pielęgnowań! W czasie długim wieku dziecinnego dać sobie człowiek rady nie może, zwierze zaś znajdzie dla siebie łatwe wyżywienie, życie też człowieka zawisło od miłości bliźnich. A kiedy przeszedł wszystkie niebezpieczeństwa młodości i choroby, które otaczają rozmaite stopnie rozwijania się życia człowieczego, czyliż natenczas nabrał siły i potęgi niepożytéj? Głód, dżuma, namiętności, bóle, cały szereg dziwnych nie raz chorób, wojny, nie ścigająż jako Eumenidy rodu ludzkiego i miliony ludu nie stępująż w kwiecie wieku do grobów. Wiele zwierząt, szczególniéj doskonale zorganizowanych, nie ulega tylu chorobom i dochodzi z łatwością lat 100 życia, tymczasem człowiek jeżeli podstarzeje, bywa najczęści przez 70 lat jeno mieszkańcem téj ziemi.

Powiadają iż człowiek jest naczelnikiem świata. Ale czyliż słuchają go gwiazdy, pory roku i wiatry? Czyliż może nakazać deszczom aby spragnione pola pokrzepiały, czyliż uspokoi wzburzone morza? Umiesz on siłami tajemniczemi ziemi na któréj mieszka zawładnąć, lub nadać wzrost ziołom, bieg planetom? Nie! człowiek sam stoi pod wiecznemi prawami przyrodzenia i im podlega wraz z innemi tworami, ginie co do ciała jak zwierzę i kwiecie.

Coż więc nadaje człowiekowi wysoki ów stopień godności i chluby śród stworzeń? Tą potęgą jest siła, którą poznajemy siebie i wszystko co nas otacza. Człowiek nie jest wstanie biegu gwiazd zatrzymać, ale umie go obrachować. Za słaby do wyparcia morza z swych łożysk, ale nad niém panuje za pomocą narzędzi które wynalazł. Własne ciało jego podlega prawom przyrodzonym, ale tę posiadł własność, iż umie zgłębiać te prawa i tym sposobem zbliżyć się pod pewnym względym do Stwórcy. Nie ciało jego piękne, ale duch boży, który w nim przebywa, jest najwznioślejszym przedmiotem stworzenia.

Historya ludzkości uczy, jak daleko człowiek w prochu urodzony dotarł do tajemnic sił przyrodzenia. Zgłębił przepaści morskie i sięgnął w łono ziemi, znane mu są biegi gwiazd, prawa ciężkości i ruchu. Zna wielką część praw przyrodzenia, według których świat jest urządzony, a jakokolwiek podniosłą jest ta znajomość świata, tych biegów gwiazd, to nierównie sztuczniéj utworzone jest ciało jego, które choć słabe i śmiertelne, piastuje ducha, pochodzącego od Boga. Zimny nawet zrazu badacz przyrodzenia mimo wiedzy uderzy w hymn podziwu i uwielbienia, kiedy ujrzy najrozmaitszą działalność i biegi w ludzkim organizmie odbywa-

jące się, bez nadwerężenia najmniejszego porządku. Krew płynie po całéj budowie naszego ciała, karmi i ożywia, serce wzdyma i ścieśnia się, wciąga krew i z siłą ją wypiera, gdy tymczasem płuca podnoszą się i opadają, biorąc w siebie powietrze, do krwi odświeżenia. Naczynia trawienia wydalają pokarmy, i wydzielają płyny ożywcze. Te przechodzą kanałami do krwi i z niewymowną szybkością daléj są pędzone. Gra muszkułów naszéj woli podlega, nerwy sprowadzają wrażenia, którym ciało ulega, i przywodzą w muzgu do wiedzy, a naszemi zmysłami wczerpujemy świat cały, jak mówi dawny poeta. Wszędzie jest życie w nas, wszędzie czynność. Wszystko odbywa się zapomocą mechanizmu w ciele ludzkiem ukrytego; cudownie spojone jest ono w jedność piękną zapamocą zewnętrznéj osłony, na którą patrząc ani się dorozumiewamy, ilutysiączne a sztuczne ruchy odbywają się w jéj wnętrzu. A w czole całego ciała osiadł w majestacie odbłysk nieskończoności, duch myślący, który zgłębiając tętna życia przyrody, woła kornie, »mój początek jest od Boga«!

Co za tryumf dla ducha człowieczego poznać dziwne sprężyny tego sztucznego mechanizmu, a szczytniejszy jeszcze tryumf zbadać prawa, według których cała ta budowa istnie, i usunąć przeszkody, które niszczą życie organizmu. Czyliż może być dla ducha coś godniejszego lub wyższego, nad poznanie człowieka?

Sztuka leczenia chorób wymaga tak ścisłego zgłębiania najmniejszych szczegółów ciała ludzkiego i zarazem tak obszernéj świadomości przyrody, iż po wszystkie czasy konieczną było rzeczą dla ludzkości, posiadać mężów, którzyby cały swój żywot téj trudnéj nauce poświęcili. W czasach naszych tak daleko postąpiono, i ukształcenie we wielu kierunkach tak dzielnie się rozwinęło, że byłoby grzechem nie do przebaczenia, gdyby nauka najwięcéj zajmująca »o ludzkim organizmie i o pojawach jego«, wyłączną pozostała tajemnicą lekarzy.

Spodziewamy się przeto iż mile przyjmą czytelnicy nasi, jeżeli od czasu do czasu będziemy umieszczać rozprawy fiziologiczne (o zjawiskach życia) powszechnie zrozumiałe, które obudzą wielostronną ciekawość. Zastanowimy się przeto naprzód nad sercem.

Serce.

Serce jest bez wątpienia najważniejszym organem ciała ludzkiego. Jest to centralny organ dla krwi obiegu, skoro ten bić przestanie, człowiek umiera. Byłoby rzeczą zajmującą opisać układ serca, ale bez ryciny trudno być zrozumiałym. Dla tego wspomnimy, iż serce złożone jest ze czterech komórek, z dwóch mniejszych, które przysionkami i dwóch większych, które komórkami serca nazywamy. Są one ścianą muszkułową przedzielone.

Serce w ciągłym znajduje się ruchu, w czasie życia nieustannie się wzdyma i opada. Nie całe serce w jednym czasie się ściąga, lecz obiedwie komórki większe z mniejszemi naprzemian. Skoro pierwsze się ściągają, drugie się rozdymają i wzajemnie. Ruch serca nazywamy biciem serca, a pojawy tego ruchu w arteriach pulsem, tętnem.

Uderzenia serca tém są częstsze, im człowiek jest młodszym. Po przyjściu na świat uderza 130 do 140 razy na minutę. W trzecim roku 90 do 100 razy, w czasie dojrzałości 70, a w starości 60 do 65 razy. Ten jest stan zwyczajny, lecz wiadomo iż serca bicie znacznie się pośpiesza w wielu przypadkach, niechorobliwych nawet. Wielka radość pomnaża uderzenia serca tak dalece, iż ciało w pewien stan febry wprowadza. Podobnie i napoje gorące powiększają czynność serca, a następnie i bicia tętna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Czciciele Robinzona. »Lincoln Mercury« opowiada: na dniu 29. Lutego opuściło trzech chłopców potajemnie dom rodzicielski. Najstarszy zaledwie lat 12 liczył, a każdy z nich czytywał Robinzona bardzo pilnie. Umyślili poszukać wyspy pustéj, gdzieby mogli doświadczać wszystkiego, co było w tak żywych kolorach opisaném w owym romansie dla dzieci. Młodzi więc koloniści zaopatrzyli się w pistolety, pałasiki i t. d. niemniéj zabrali ze sobą wszelkie narzędzia potrzebne do założenia małéj osady na wyspie, noże, nożyczki, igły, powrozy i tym podobne. Tak obciążeni szli nad brzegami morza aż do Saltfleet, tu wyszukali łódź, która ich miała zanieść na urojoną wyspę Robinzona. Tam postanowili sobie chatkę wybudować, oszańcować ją naprzeciw dzikim ludziom, kozy wychowywać, zasadzić winnice i wszystko to wykonać, co tylko dziecinna wyobraźnia nadarzy. Ale na nieszczęście przybyli rybacy, wypę-

dzili ich z łodzi, odebrali im broń i postraszyli na drogę. Ztąd udali się inną drogą, trzymając się zawsze brzegów morza. Podwieczór dogonił ich konny posłaniec pod Horncastlem, przymusił ich do powrotu i tak ocalonych, zgłodniałych i osłabionych awanturników oddał rodzicom.

Powiastka. Pewien pan bogaty niechciał pozwolić na to, aby jego szczebiotliwy alias rostropny sześcioletni synalek siadł razem do stołu, bo zaprosił swego przyjaciela, który miał duży nos, na obiad. Czuła matka potrafiła jednak synalkowi miejsce u stołu wyrobić, obiecując mu pomarańczą, jeżeli gadać niebędzie o nosie gościa. Długi czas siedział chłopczyk spokojnie, to na nos, to na pomarańczą spoglądając. Nakoniec zapytał się: »Mamo, dostanę ja pomarańczą? wszakże nic niemówiłem o nosie pana profesora.«

Mody. — Paryż, dnia 26. Maja 1840. — Najpiękniejsze kapelusze na tę porę są wyrabiane z pewnego rodzaju organtyny, haftowane, zwane tarlatanem. Haftują biało na białém, albo w kolorze tkaniny.

Włoskie kapelusze słomiane w dawném utrzymują się pierwszeństwie. Piękny włoski kapelusz z białém piórem można nazwać śliczną ozdobą dla kobiety.

Kapelusze prawie wszystkie mają półzasłonki i nic niemasz zdobniejszego jak cienka półzasłonka z koronek angielskich na białym kapeluszu krepowym.

O kapeluszach ze słomy ryżowéj cokolwiek zapomniano. Młode panienki noszą kapelusze z kolorowéj słomy lub pojedyńcze tarlatany, biało haftowane z białemi wstążkami lub strojem z białéj krepy.

Mało widać zwyczajnych parasolików, noszą zwyczajnie tak zwane markizy.

Zanosi się na zmiany w noszeniu szalów latowych; rozmaite szale fantazyjne, wyjąwszy haftowane na tulu, a ozdobione koronkami, ustępują miejsca szarfom z białego pięknego bareżu, które kolorową podszewką podbijają i maleńkiemi jedwabnemi fręzlami garnirują w kolorze białym. Osadzają je także pojedyńczemi dużemi fręzlami. Takie szarfy wyrabiają z lśniących tkanin jedwabnych w jasnych kolorach, które u obydwóch końców tylko są osadzone fręzlami.

Fulardy damaskowane i tkaniny bramowane w ciemnych kolorach ciągle są jeszcze poszukiwane.

Najnowsze tkaniny na suknie prócz wymienionych są bareżowe we wzory perskie, na tle perłowém. Brunatne i fijołkowe fulardy są równie nową jak śliczną odmianą, szczególniéj w małe białe wzory. Polecić także możemy lekkie tarlatany na tle ciemno-błękitném lub brunatném, w białe kraty lub we wzory koronkowe, a dla młodych Dam suknie z haftowanego muślinu lub organtyny, na tle tak zwaném koronkowém.

Szwedzkie rękawiczki powszechnie noszą tak mężczyzni jakotéż i kobiety. Kolor szamoa jest przyjęty i stósuje się do wszystkich ubiorów.

Dla mężczyzn. Kołnierze u fraków i surdutów bardzo wązkie, u pierwszych poły szerokie i zaokrąglone. Kamizelki bywają dosyć rozwarte, jeżeli fraki i surduty niesą aż do góry zapięte według teraźniejszéj mody.

Noszą także kamizelki à la française. Niemają szalika, tylko jest tenże gęstém przeszyciem zaznaczony. Kołnierz stojący, ale bardzo wązki.

Tkaniny na kamizelki są rozmaite, niemożna nawet ich oznaczyć.

Pantalony koloru szarego lub kurzawy. — Wyrabiane zaś są z materyi lekkiéj i miękiéj w rodzaju jedwabiu z atłas-wełny. Angielski drelich także się utrzymuje.

Kapelusze noszą bardzo wysokie, z obwodem szerokim do góry po bokach wzniesionym.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz jedwabny, strojny blondynami i kwiatami. Szlafroczek z haftowanego muślinu, osadzony wązką falbaną. Mantelet jedwabny kilku rzędami bufek ozdobiony.
2. Kapelusz z gros des indes zdobny bufkami ze wstążek i bukietem kwiatów. Szlafroczek z gros de neaples; stanik gładki, wycięty w serce. Rękawy obszerne, osadzone u góry trzema rzędami bufek.
3. Kapelusz jak u 2. Szlafroczek w prążki z pelerynką, osadzony w kształt tuniki ukosami, śród nich bufki, kończą się u dołu w kokardy z wstążek. Rękawy obszerne, u dołu mankietki z téj saméj tkaniny.
4. Frak z okrągłemi połami, obcisłemi rękawami, wązkim kołnierzem, na dwa rzędy guzików zapinany. Pantalony obcisłe, krawat kolorowy.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

22.